

Skąd na Wyspach wzięli się Hindusi?

25 lutego 2014

Dziś w Wielkiej Brytanii żyje mniej więcej 4 mln ludzi pochodzących z subkontynentu indyjskiego i jest to najliczniejsza mniejszość etniczna. Skąd miliony Azjatów wzięły się na Wyspach? Mówiąc najprościej – z kolonii. Przyjechali do Europy za swoimi pieniędzmi, które przyjechały do niej przed nimi.

Kompanię Wschodnioindyjską powołano w Londynie w 1600 r. Miała budować relacje handlowe z Azją i czerpać z nich korzyści. W 12 lat później Kompania zbudowała pierwsze stanowisko handlowe w Suracie. 200 lat później objęła władzę nad całym subkontynentem, a Indie stały się „perłą” w imperialnej koronie. Przy czym korona korzystała na tym bardziej niż Indie. Kolonią zarządzała niezwykle efektywna brytyjska administracja, która doskonale radziła sobie nie tylko w Indiach, ale na terenie całego „Imperium, w którym nigdy nie zachodziło słońce”. Dość powiedzieć, że był taki moment, w którym łączna powierzchnia terytoriów poddanych koronie brytyjskiej wynosiła 12,7 mln mil kwadratowych. 100 razy więcej niż same Wyspy.

DZIEL, RZĄDŹ I ROZGRYWAJ

Londynowi udawało się utrzymać władzę na tak olbrzymim terytorium dzięki umiejętnemu stosowaniu zasady „dziel i rządź”. Brytyjczycy nauczyli się tego w Irlandii oraz na błędach popełnionych w Stanach Zjednoczonych. Te bowiem stłamsili zbyt mocno i sprowokowali do skutecznej rebelii. Skorzystali z tego doświadczenia i później unikali strategii, która czyniła z nich stroną konfliktu. Zamiast stawać się nią samemu, woleli umiejętnie wygrywać lokalne interesy oraz animozje.

Wykorzystywali też jedne narody do zarządzania innymi. Na przykład w afrykańskich koloniach można było naliczyć nawet 250 tys. pochodzących z Indii członków kolonialnej administracji. Z czasem doszli do mistrzostwa w stosowaniu takich metod, czego najlepszym przykładem są Indie. „W roku 1911, kiedy przeniesiono stolicę do Delhi, liczba Brytyjczyków zarządzających subkontynentem liczącym ponad 200 mln dusz była mniejsza niż liczba austriackich urzędników w Pradze” – pisał Davies.

Wszystko dzięki sieci zależności i interesów, którą budowano przez 300 lat. Początkowo za pośrednictwem dyrektorów Kompanii Wschodnioindyjskiej, którzy sprawowali bezpośrednią władzę na części subkontynentu, gdzie indziej korzystając z zależności usłużnych maharadzów. A po stłumionym powstaniu sipajów i utworzeniu w 1858 r. tzw. Brytyjskiego Raju przestano udawać i na jego czele stanęła królowa Wiktorja, która w 1876 r. przyjęła tytuł cesarzowej Indii.

Sama metoda zarządzania się jednak nie zmieniła. Brytyjczycy kierowali kolonią, dzieląc i rządząc, a także niejednokrotnie podburzając przedstawicieli różnych nacji i religii przeciwko sobie, co miało przynieść opłakane skutki w XX wieku, gdy Indie, Pakistan i Bangladesz zyskiwały niepodległość.

PIERWSZY MECZET W LONDYNIE

Do wszystkiego dorabiano odpowiednią ideologię. Mówiono, że Brytyjczycy niosą „brzemie białego człowieka” i cywilizują Azję oraz Afrykę. Bo choć Imperium szczyliło się wielością ras zamieszkujących jego terytoria, to nie było tam mowy o jakiegokolwiek równości. Rządzili dumni Brytowie. Resztę zaliczano do gatunków pośledniejszych.

„Jesteśmy pierwszą rasą świata i im większe obszary świata zajmiemy, tym lepiej dla rasy ludzkiej” – pisał Cecil Rhodes. W rzeczywistości lepiej było jednak przede wszystkim dla nich samych, bo wszystko stanowiło użyteczne wytłumaczenie.

Kolonializm – oczywiście – nie opiera się na pomocy innym, tylko na pomocy sobie. Nie inaczej było też tutaj. A chodziło przede wszystkim o pieniądze.

Kolonie – w tym Indie – były doskonałym źródłem półproduktów i surowców potrzebnych dla przeżywającego rewolucję przemysłu. Kolonie utrzymywano w stanie niskiego rozwoju, bo pieniądze miała na nich zarabiać Brytania. Zadaniem ich mieszkańców było służyć. „Czarni są stworzeni w celu służenia białym, dokładnie tak jak czarne mrówki są stworzone, by służyć czerwonym” – pisał „Spectator” w 1865 r.

SŁUŻĄCE I MARYNARZE

Ludzie należący do podbijanych ludów byli jedynie narzędziem i tak ich traktowano. Doskonale pokazuje to pierwsza znacząca, choć jeszcze wtedy nie tak liczna imigracja z Azji na Wyspy, która odbyła się w wieku XIX. Składały się na nią dwie grupy ludzi. Jedną były... służące. Rodziny należące do administracji kolonialnej zatrudniały zwykle miejscowe opiekunki i gosposie. Kiedy kończył się ich okres pobytu poza krajem i decydowały się na powrót do domu, zabierały je ze sobą.

Na ogół jednak nie po to, żeby dać im pracę w Londynie, Leeds lub innym Birmingham. Potrzebowano ich jedynie w czasie morskiej podróży i zwalniano zaraz po przypłynięciu do Wielkiej Brytanii. Te szukały innej pracy, ale to nie zawsze się udawało. Pierwszy przytułek dla porzuconych gospoś musiano stworzyć już w 1857 r. przy West India Dock Road. Kobiety czekały tam na kogoś, kto będzie potrzebował pomocy w drodze na Wschód. Bywało, że się doczekały.

Drugą grupę – ta przybierała na liczebności zwłaszcza po przekopaniu Kanału Sueskiego – stanowili marynarze. Armatorzy woleli korzystać z tzw. lascars, ponieważ byli oni tańsi i pracowali ciężiej niż ich biali koledzy. Sam system był zresztą półniewolniczy, ponieważ do pracy dostarczali ich pośrednicy – tzw. serangs – którzy zabierali im sporą część wynagrodzenia.

Po przyplłynięciu do Brytanii wielu z nich zostawało na lądzie i oczekiwało na nowy rejs, ale wielu czekanie zmieniało na „pobyt stały”.

Okolice londyńskich doków stały się pod koniec XIX wieku ich dzielnicą.

Liczono ich w tysiącach, ale nijak miało się to do fali imigracji, która miała się pojawić, kiedy imperium zaczęło się zwijać. Choć – i to trzeba podkreślić – wraz z innymi przybyszami (a do Anglii garnęła się też część arystokracji) było tych ludzi wystarczająco wielu, by w 1889 r. zbudować pierwszy meczet na Wyspach. Nazwano go na cześć budowniczego „Taj Mahal”.

IMPERIUM WRACA DO DOMU

Stosunek Anglików do kolonii widać jednak nie tylko w tym, jak traktowali służące. Doskonale oddają to statystyki gospodarcze. Subkontynent indyjski, który przyciągnął Europejczyków swoim bogactwem, ogromnie zbiedniał pod ich zarządem. Między 1880 a 1920 r. PKB rosło tam o 1 proc. rocznie. Ale tylko globalne, bo to per capita utrzymywało się na niezmiennym poziomie. W czasie rządów kolonialnych udział Indii w światowym PKB spadł z 20 do 5 proc. Gdzie indziej było podobnie.

„W rzeczywistości jednym z powodów, dla których Brytania porzucała swoje dominia, było to, że wydoiła je już tak dokładnie, iż nadchodząca walka o ich utrzymanie nie opłacała się z ekonomicznego punktu widzenia” – pisał Robert Winder w „Bloody Foreigners”. Dlatego kiedy Imperium zaczęło się zwijać, wielu jego mieszkańców podążyło za nim. Na Wyspach widziało szansę na lepsze życie, a też wielu nie miało lepszych opcji. Subkontynent indyjski pogrążał się w problemach, które po części wynikały ze stosowanej przez Brytyjczyków strategii wyjścia, którą w skrócie nazywano „dziel i uciekaj”.

Administracja kolonialna zostawiała za sobą konflikty etniczne i religijne. W ich wyniku ludzie tracili domy i musieli się przesiedlać. Wielu myślało, że skoro i tak mają się przenieść, to równie dobrze mogą spróbować dostać się do Wielkiej Brytanii. W 1949 r. w Birmingham mieszkało 100 Azjatów. W połowie lat 50. liczone ich w tysiącach. W sumie do 1955 r. przybyło ich na Wyspy 55 tys. Kolejną falą byli przesiedleńcy, których z Pakistanu wyгнаła budowa Mangla Dam. Oni bilety kupowali za uzyskane odszkodowania. „Część z nich znajdowała pracę w fabrykach razem z Polakami i Jamajczykami” – pisał Winder i dodawał: „inni starali się zakładać własne firmy”.

Co było – i jest nadal – doskonale widać na ulicach. Zwarte i pomagające sobie społeczności – bo ci „Azjaci” to grupa mniej więcej tak zróżnicowana pod względem etnicznym, językowym i religijnym jak Europejczycy, więc trudno mówić o nich jako o jednej całości – szybko zaczęły osiągać małe i większe sukcesy. Zmonopolizowali np. rynek off-licence i dostaw do nich. Na początku lat 70. w Dewsbury było ich 37 i każdy prowadziła pakistańska rodzina. Rozwinęli własne systemy pożyczek, bo nie lubili banków. Wspierali się nawzajem i stworzyli państwa w państwie.

Wielu z tych, którzy przybyli do Londynu, znalazło dom w Southall i nie stało się to przez to, że – jak żartują londyńczycy – wysiadali na Heathrow i prosili o kurs na Picadilly lub Oxford, a taksówkarz wiózł ich na przedmieście, wysadzał i mówił, że Oxford Circus jest zaraz za rogiem. Stało się tak dlatego, że była tam fabryka Woolf Rubber, która chętnie zatrudniała Azjatów. Pierwsi ściągali następnych, a wszyscy chcieli mieszkać blisko pracy. Tak się zaczęło, a dziś stanowią tam oni 97 proc. mieszkańców. Zaraz za nimi podążyli pracownicy kolonialnej administracji – najpierw z Kenii, a później też 30 tys. hindusów wypędzonych z Ugandy przez Idi Amina. Inną historią są sikhowie, którzy jeszcze przed wojną zaczęli przybywać do Leeds, gdzie najpierw przyjechał jeden – Darshan Singh, a później zaczął ściągać kolejnych.

Ta postimperialna imigracja nabrała takiego tempa, że o ile w połowie lat 50. na całych Wyspach było kilkadziesiąt tysięcy ludzi pochodzących z subkontynentu indyjskiego, to w 1971 r. w samym Bradford 10 proc. populacji stanowili Pakistańczycy, a w 1985 tylko w tym jednym mieście było ich 50 tys. Spis powszechny z 1991 r. – do którego jeszcze wrócimy – pokazał nieco ponad 3 mln ludzi o takich korzeniach, a ostatni (z 2011 r.) już 4 mln. Nie ma tu zresztą co wymieniać. Wystarczy wspomnieć, że w 1970 r. naliczono w Wielkiej Brytanii... 2 tys. indyjskich restauracji prowadzonych przez Bengalczyków.

Wszystko to stało się w zaledwie 50 lat i nie bez problemów.

PAKI-BASHING

Niekiedy nieprzyjemnych, ale anegdotycznych. Tak było na przykład w jednej z fabryk w Midlands, w której pracowało sporo sikhów, a na przełomie lat 50. i 60. załoga zbuntowała się przeciwko wspólnym sanitariatom. Biali pracownicy uznali bowiem, że ich azjatyccy koledzy są powodem brudu, który w nich panował. Rzecz skończyła się tak, że zarząd zdecydował o zrobieniu odrębnych przyszniców oraz toalet dla sikhów. Jakież musiało być zdziwienie brytyjskich czyściochów, gdy okazało się, że u „brudasów” wszystko jest, jak należy, a u nich był taki sam syf jak wcześniej.

Czasami – zwłaszcza w okresach, kiedy gospodarka miała się gorzej – bywało jednak znacznie nieprzyjemniej. W latach 70. i 80. na porządku dziennym był tzw. paki-bashing. Dochodziło do pobić i morderstw. Popularność zyskiwały ruchy rasistowskie, a ich liderzy nie przebierali w środkach. W słowach zresztą też nie. Po jednym z takich morderstw John Kingsley Read komentował: „Jeden mniej. Milion do załatwienia”. Nie pomagała też policja, której postawę Winder podsumowuje, pisząc: „Kierowano się przekonaniem, że to wina ofiar, bo jakby ich nie było, to by ich nie bili”.

Mimo to liczebność tej grupy etnicznej stale się powiększała.

Z jednej strony do już osiadłych w Wielkiej Brytanii przybywali i nadal przybywają kolejni. Z drugiej coraz więcej jest też ludzi należących do tej grupy etnicznej, ale urodzonych w Wielkiej Brytanii. Statystyki pokazują zresztą, że dzieje się to dość szybko, bo – tu wróćę do spisu powszechnego z 1991 r. – przeciętna rodzina z Bengalów miała wtedy 5,3 dziecka, z Pakistanu 4,8, a hinduska 3,8.

Ale ten spis pokazał też coś innego i bardzo interesującego. Wiele stereotypów można chyba schować do szafy i się do nich więcej nie przyznawać. Co czwarty z „azjatyckich” studentów powtarzał na studiach egzaminy tylko po to, żeby otrzymać lepszą ocenę. Jednocześnie – co jest anegdotyczne – okazało się, że na liście milionerów jest siedem razy więcej Patelów niż Smithów. Choć w ogóle Smithów jest 10 razy tyle co Patelów. 10 proc. osób należących do tej grupy etnicznej pracowało w zawodach zaliczanych do tzw. professionals. W przypadku białych Brytyjczyków było to o połowę mniej.

Powodem być może jest to, że w społeczności azjatyckiej jest wiele osób, które diablo ciężko pracują.

Autor: Tomasz Borejza

Źródło: [eLondyn](#)